



Mam na imię Ania Borowiec. Swoje 25 lat spędziłam w Krakowie, z pasji i serca studiuję dwa kierunki na UJ: Biologię i Filmoznawstwo oraz jednocześnie od 3 lat pracuję w Małopolskim Centrum Medycznym jako koordynator badań klinicznych.

W 2007 byłam najwykolejszą z licealistek i grałam w koszykówkę na lekcji WF. Nagle, po raz pierwszy w życiu, poczułam silny ból w lewej ręce, nie mogłam nią poruszyć. Tak się wszystko zaczęło. Wkrótce postawiono diagnozę – [zespół górnego otworu klatki piersiowej](#). Jest to rzadka choroba, która polega na tym, że moje kości i mięśnie uciskają nerwy i życiowo ważne naczynia w tym miejscu przy szyi, gdzie wychodzą one z klatki piersiowej. Przez to właśnie nie mogłam ruszać ręką – kości mojej klatki piersiowej uszkodziły splot barkowy.

Od tego dnia minęło już kilka lat, byłam w tym czasie kilkakrotnie operowana, a zabiegi te przyniosły mi liczne powikłania. Obecnie mam postępujący niedowład prawej ręki (lewą na szczęście udało się przywrócić do życia) – nie jestem w stanie jej podnieść a nawet pisać. Nie poddaję się łatwo i wymyśliłam na to doskonały sposób - by móc pracować i kontynuować studia nawróciłam się na bycie leworęczną. Zakupiłam zeszyty dla dzieci leworęcznych i z zapalem zabrałam się za naukę pisania. Z zawzięciem sportowca trenowałam operowanie łyżką i widelcem. Są efekty! No i czasem przykuwam zdziwione spojrzenia, gdy w windzie podnoszę prawą rękę do góry przy pomocy zgiętego kolana by wcisnąć guzik, jeśli lewa ręka akurat jest czymś zajęta.



Jednak nie wszystkie problemy jestem w stanie tak prosto rozwiązać. Mam uszkodzone bardzo ważne nerwy, „mieszkające” w klatce piersiowej. Dopadają mnie gwałtowne napady kaszlu, czasem praktycznie nie mogę oddychać przez kilkanaście minut. Jest to efekt podrażnienia nerwu przeponowego. Moje serce bije bardzo szybko. I to nie tylko na widok przystojnego chłopaka. Po prostu już tak ma. Na stałe – nie pomagają żadne leki. To właśnie przez nerw błędny, który u zdrowych pomaga sercu zwolnić obroty. Pożegnałam rower, sprzęt wspinaczkowy i buty górskie, zamieniając je na spacer w tempie emeryta. Sprzęt wspinaczkowy rozdałam znajomym, rower kurzy się w garażu kolegi, buty od czasu do czasu wyciągam z szafy w nadziei, że jeszcze kiedyś mi się przydadzą. I w to akurat bardzo mocno wierzę!

Zamieniłam turystykę górską na turystykę medyczną.

Uprawiam ją nieustrudzenie od ponad roku. Zwiedziłam doskonale już szpitale w Krakowie, Łodzi, Wrocławiu, Warszawie, Poznaniu, poznałam najlepszych chirurgów w Polsce. Niektórzy tylko wzruszali bezradnie ramionami, inni zwodzili mnie obietnicami i kazali przyjeżdżać na kolejne i kolejne konsultacje, wykonywać kolejne badania. Wracałam wieczorem do domu, spoglądałam na buty górskie i mówiłam, że jeszcze nie teraz. Może następnym razem. Na pewno następnym razem. Tak minął ponad rok. Zrobiłam sobie niezliczoną ilość tomografii, miografii, prześwietleń, rezonansów, które konsekwentnie przekonywały że jest coraz gorzej, coraz słabiej, coraz większa blizna w klatce piersiowej, tuż za obojczykiem uciska i pochłania nerwy i naczynia.

Po ponad roku wędrowania po całym kraju powiedziałam sobie – dość! Trzeba się rozejrzeć szerzej. Tak właśnie poznałam kolejnego wspaniałego chirurga. Profesor... jest Niemcem i operuje w Aachen. Specjalizuje się właśnie w mojej chorobie. Wyróżnia go jeszcze jedna cecha. W odróżnieniu od wszystkich innych nie zwodził mnie obietnicami, regularnie odpisywał na moje wiadomości, a po naszym osobistym spotkaniu zaproponował mi konkretny plan. Wiecie jak wygląda nasz z Profesorem plan? A oto i on.

Ja przyjeżdżam do niego do Aachen, a on robi jeden po drugim 2 zabiegi. Pierwszy zwiadowczy – otworzy moją klatkę piersiową i tylko szybciotko tam zerknie ciekawskim okiem, co się tam właściwie podziało w tym moim ciele, co gdzie i jak się poukładało w tym bałaganie. Jak szpieg sporządzi mapę i po takim przygotowaniu zabierze się za drugi zabieg – usunie wszystko co zbędne, uwolni moje naczynia i nerwy z blizny by mogły znów cieszyć się swobodą, odbudowywać się i działać prawidłowo. Sprytne, nieprawdaż? Ale profesor nie byłby sobą gdyby nie powiedział, że nasz plan jest również bardzo niebezpieczny.

No i cóż? Dla mnie to i tak były znakomite wieści! Uskrzydłona nową nadzieją uzbroiłam się w ten niebezpieczny i piękny zarazem pomysł i wyruszyłam z powrotem do domu, by z dumą zaprezentować go przed komisją powołaną przez NFZ. No bo przecież każdy zabieg kosztuje.

Tyle, że mój plan nikomu się nie spodobał. Znów zaczęłam krążyć od ośrodka do ośrodka, tym razem prosząc by potwierdzili na papierze to, co powtarzali mi przez cały miniony rok – że nie ma dla mnie w Polsce możliwości leczenia. Bez skutku. Zaproponowali mi przeszczep nerwów, twierdzili, że formalnie zabieg jest w Polsce wykonywany i nikt mi go zagranicą nie zrefunduje. Na koniec usłyszałam, że gdybym przyszła rok temu to by dało się wszystko uratować, a teraz to już za późno.

A ja chcę zabrać swoje buty w góry. Chcę wyciągnąć rower z garażu. I choć wygląda na to, że zostałam z tym sama, i tak będę o to walczyć. Dlatego proszę was o pomoc. Z każdym dniem powoli tracę szansę na odzyskanie sprawności. Dlatego już nie daję się nabrać na puste obietnice i liczę każdy dzień.

Mam wyznaczony termin zabiegu na 3 września. Pomóżecie mi zdążyć? Pomóżcie. Może razem pójdziemy kiedyś w góry. Mocno w to wierzę.